

Lustmord odsunął nieco zasłonkę. Za oknem majaczyła ciemna bryła Manchesteru, ze swoją płataniną rur i olbrzymich kotłów zasilających miasto w energię. Niebo zasnuwały gęste, czarne chmury popiołów, wypluwanych z przepastnych trzewi Brytyjskich Zakładów Fabrycznych Bishopa. Gdyby czuł cokolwiek, z pewnością skręciłoby go od zapachu siarki.

– Jest pan Amerykaninem? – usłyszał nagle za plecami.

Tuż obok siedział mężczyzna, na którego wcześniej nie zwrócił uwagi, choć z pewnością jechał on tym pociągiem od dawna. Twarz miał pociągłą, ale sympatyczną, oczy wesołe, wąsy starannie wypielęgnowane, podobnie jak włosy, ukryte pod czarnym melonikiem. Angielski *gentleman*. W dłoni trzymał gazetę; nagłówek krzyczał dramatycznie: „Teksas płonie!”

– Tak, jestem... Amerykaninem.

– Ha, od razu wiedziałem! – Mężczyzna ucieszył się i pomachał gazetą. – Kapelusz pana zdradził. Kowbojski, prawda? Nikt tu takich nie nosi.

– Owszem, nie nosi...

– Niech mi pan powie, czy to prawda, że w Ameryce ludzie zabijają swoich murzyńskich obywateli i wieszają ich przed kościołami, a psom pozwalają gwałcić czarne kobiety?

– Nie. – Lustmord z powrotem zwrócił się w kierunku okna - Sami je gwałcą.

Gdzieś daleko zamajaczyło światło, barwna plama żółci, czerwieni i pomarańczy na tle czarnego jak sadza nieba.

– Już świta?

– Nie, proszę pana. – powiedział *gentleman*, wkładając okulary na nos. – To Zakłady Włókiennicze Carpentera. Trzeci dzień będzie, jak płoną. Widocznie znów się przeniosło na jakiś budynek. Dobrze, że wziął pan ze sobą maskę. Strasznie tam cuchnie.

Lustmord nie odpowiedział. Chwilę potem pociąg wjechał na stację i Anglik pożegnał się, życząc Amerykaninowi powodzenia.

W okolicach Cannon Street minął dwa rozpędzone, buchające parą z kotłów beczkowsy, wraz z rozwrzeszczaną załogą ogniową. Przeszedł jeszcze kawałek i zobaczył kilka kamienic stojących w ogniu. Płonęły dwa pierwsze piętra, podczas gdy na trzecim i

czwartym tkwili jeszcze ludzie walczący z ogniem i duszącym dymem. Stojąca przed wejściem brygada rozwinęła duże płachty, w celu łapania wyskakujących z budynku. W pewnym momencie matka wypchnęła przez okno dwójkę swoich dzieci, które zostały złapane. Chwilę potem – nie zauważywszy znaków brygady by czekała – sama wyskoczyła i roztrzaskała się na bruku. Nagle ktoś krzyknął – z płomieni wyskoczył młody chłopak, na oko siedemnastoletni, trzymając pod pachą sporej wielkości szkatułkę.

Szabrownik.

Rzucił się do ucieczki, ale nie zdążył; któryś z brygadzystów chwycił toporek i z impetem uderzył nim chłopaka w kark. Martwe ciało upadło na ulicę. Jak się później okazało, nie ostatnie.

Pochód, który migał mu między domami, zatarasował drogę dopiero przy Kings Street. Rzeka ludzi w różnym wieku, kobiet, mężczyzn i dzieci przelewała się przez ulicę, wznosząc gniewne okrzyki i złorzecząc światu. Jakaś wypudrowana damulka podeszła do Lustmorda i wcisnęła mu w dłoń kilka kartek papieru, ze słowami: „Nie damy się zepchnąć na boczny tor! Razem będziemy silni!”. Mężczyzna spojrział na tłum, na nieprzerwany potok ludzkich sylwetek, porażających swoją brzydotą i upodleniem, zupełnie jak by było idące na rzeź. W powietrzu powiewały flagi, niesiono tablice z napisami: „Śmierć pijawkom!”, „Zabić wrogów Anglii”, „Nie damy się zagłodzić” i innymi, podobnymi. Wszyscy ci mieszkańcy byli zapewne robotnikami, zwolnionymi po wprowadzeniu nowych przepisów w Zakładach Włókienniczych Carpentera i Fabryce Maszyn Królowej Elżbiety.

W Anglii ludzie maszerują na ratusz, wieszając przedsiębiorców na latarniach. W Ameryce biali zabijają murzynów i zatykają ich głowy na płotach, a w Europie Środkowej z głodu rozpoczęto wojnę, by żołnierze mogli pożywić się na wrogu. Świat oszalał.

Kilkanaście minut później trafił do zaułka uciech. Burdele stały po obu stronach, nie niepokojone przez nikogo, a prostytutki bez skrępowania łapały klientów na ulicy, pozwalając im na zapoznanie się z towarem. Lustmorda w kilka chwil oblepiła chmara dziwek, obiecując niebiańskie rozkosze za niewygórowaną cenę. Większość z nich miała najlepsze lata za sobą,

sprzedawszy je za grosze, oddawszy obcym swoje wdzięki i młodość. Obok nich było jednak także i kilka młódek, z uśmiechem podwijających spódnice i wabiących tak jurnych młodzieńców, jak i bogatych starców. Mężczyzna odepchnął dziwki i wszedł w ciasną, ciemną uliczkę, z rzadka oświetlaną lampami oliwnymi. Nagle usłyszał dziwny dźwięk, jakby ktoś rozbijał arbuzy na bruku. Przeszedł jeszcze kawałek i w jednej z odnóg ujrzał, dobrze oświetlonego, *gentlemana* z pociągu. W zakrwawionej ręce trzymał on wąski nóż, którym otwierał klatkę piersiową młodej dziewczynie o rudych włosach. Zobaczywszy znajomego, mężczyzna uśmiechnął się i uniósł melonik w pozdrowieniu. Lustmord odwzajemnił gest i poszedł dalej.

Z wnętrza kościoła dobiegał odgłos organowej muzyki. Wszedł do środka zaciekawiony. Z ołtarza patrzył Chrystus w złotej aureoli. Patrzył na ten szalony świat i płakał krwawymi łzami, a jego lament odbijał się głucho w ciemnym wnętrzu świątyni, nie docierając do nikogo.

Wszedł na chór. Gdzieś w kącie kochała się młoda para, nie zważając na to, co dzieje się na zewnątrz. Na przewróconych krzesłach poniewierała się stara odzież, zostawiona zapewne przez żebraków. Zajrzał głębiej.

Przy organach – ogromnych, pięknych organach o potężnym, mistycznym głosie – siedziała mała, kilkuletnia dziewczynka o złotych włosach i grała. Grała ze sprawnością godną mistrza, z zapamiętaniem i energią, a dźwięki wychodzące z instrumentu – dźwięki posępne, złowieszcze i ponure – idealnie pasowały do tego, co działo się na ulicach.

Zauważywszy obecność Lustmorda, przestała na chwilę i spojrzała na niego.

– Czego szukasz? – zapytała z dziecięcą ufnością.

– Zarządcy miasta – odpowiedział, siadając na kamiennym stopniu. – Chcę go zabić.

– Spóźniłeś się.

– Czemu?

– Widziałeś tych ludzi, którzy szli, wymachując flagami? Złapali zarządcę i jego żonę, i zatknęli ich głowy na piki. Teraz idą je ustawić w centrum miasta.

To powiedziawszy, dziewczynka wróciła do gry, a melodia zabrzmiała jeszcze głośniejsze, jeszcze potężniej niż poprzednio. Wydawało się, że zaraz otworzy się niebo i piekło, a całą

ziemię zaleje deszcz ognia i siarki; że lada chwila Chrystus zejdzie na ziemię, by dokonać Sądu Ostatecznego, oddzielić ziarno od plew... Ale nic takiego się nie stało.

Dziewczynka skończyła grać, schowała nuty do kajetu i stanęła przez Lustmordem.

– Ładnie – powiedział, wstając. – Co to było?

– *Apocalypsis cum figuris* – odrzekła wesoło dziewczynka. – Dostanę teraz ciastko?

– Ciastko?

– Tak. Mama obiecała, że jak ładnie zagram, to dostanę ciastko. Powiedziałeś, że było ładnie, więc chcę ciastko.

Mężczyzna popatrzył na dziecko i lekko pogłaskał je po głowie.

– Tak, ładnie było. Widziałem małą cukiernię po drodze... chodź, kupię ci ciastko.

Dużo ciastek.